

Nina Siegal

LEKCJA
ANATOMII

Przekład
Grażyna i Aleksander Gomola

Wydawnictwo WAM

*Nieme powłoki uczą. Skrawki ciała, chociaż martwe,
z tego właśnie powodu nie pozwalają nam umrzeć.
Tu oto zręczną dłonią rozcinając blade kończyny,
przemawia do nas swą elokwencją uczony Tulp:
„Słuchaczu, naucz siebie!
I przyglądając się tym częściom ludzkiego ciała,
Uwierz, że nawet w najmniejszej skrywa się Bóg”.*

Caspar Barlaeus, 1639

OD AUTORKI

Arcydzieło Rembrandta *Lekcja anatomii doktora Tulpa* poznałam już w dzieciństwie, bo jego reprodukcja wisiała w gabinecie mojego ojca. Nie wiedziałam jednak, jak się nazywał ten obraz ani jaka jest jego geneza. Gdy byłam na studiach, na seminarium z historii sztuki mieliśmy „przeczytać” jakieś malowidło, to znaczy wydobyć obecną w nim narrację. Mogliśmy wybrać dowolne dzieło. Kiedy nasz wykładowca pokazywał na ekranie kolejne slajdy mogące być jej źródłem, pojawiła się wśród nich znana mi reprodukcja. Pomyślałam wtedy: „To jest to! Nareszcie poznam prawdziwą historię, jaka kryje się za tym obrazem”.

Przeprowadziłam się do Amsterdamu, ponieważ pociągnął mnie pomysł, by napisać powieść, której bohaterem będzie martwy człowiek przedstawiony na obrazie: Adriaen Adriaenszoon, znany także jako Aris Kindt. Zdobyłam grant na badanie epoki, w której żył

Rembrandt, mogłam chodzić ulicami, po których on chodził, i chłonąć widoki jego świata. Mieszkalam w domu zbudowanym w 1624 roku. Pracowałam w biurze mieszczącym się w dawnych składach holenderskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej. W brukowanych uliczkach opasujących Stare Miasto słychać stukot końskich kopyt, a jeśli zmrużyć odpowiednio oczy, wypełniający je dzisiaj turyści z całego świata przemieniają się w żeglarzy i kupców. W archiwach miasta Amsterdamu odnalazłam kartotekę złodzieja recydywisty Arisa Kindta dokumentującą wszystkie jego przestępstwa.

Siedząc któregoś popołudnia przed oryginałem dzieła Rembrandta w Mauritshuis w Hadze i przyglądając się prawie nagiemu ciału na stole sekcyjnym, pomyślałam: „Zanim ten człowiek stał się najważniejszym elementem tej lekcji anatomii, ktoś musiał się o niego troszczyć i nim opiekować. Ktoś dotykał tego ciała, kochał je. Tym kimś była kobieta”. Nazwałam ją Flora. I tu właśnie zaczyna się moja opowieść.



DZIEŃ EGZEKUCJI

CIAŁO

Pierwsze bicie dzwonów zegara Westerkerk, które słyhać także w wilgotnej kamiennej celi więzienia w ratuszu w Amsterdamie, wyrywa Adriaena Adriaenszooona ze snu. Jest spocony, a równocześnie dygoce z zimna. Dygoce, bo zimne styczniowe powietrze kąsa go przez lichey skórzany kubrak bez rękawów; poci się z powodu nocnego koszmaru, z którego dopiero co się wyrwał.

Pamięta jedynie zlepek symbolicznych obrazów: psa, ścianę z szeregiem drzwi, starą kobietę z wiadrem pełnym piachu – a strach, od którego pulsują mu skronie, domaga się uparcie, by wrócił do snu i zobaczył jego sens. Coś mówi mu, że za jednymi z tych drzwi kryje się obietnica pocieszenia, łóżko, na którym może się położyć. Ale nie zamknie już oczu, bo i one, i pozostałe zmysły już rejestrują dzień.

Nieopodal słysząc stukot końskich kopyt rozbryzgujących kałuże. Słysząc rzenie i metaliczny dźwięk podków o bruk. Fragment ulicy, bo tylko tyle widać przez okienko celi, lśni od padającego w nocy deszczu. W powietrzu czuć zapach kamienistej gleby, potu i moczu.

Robi znak krzyża, przypominając sobie miejsce, w którym się znajduje, a potem rozgląda się nerwowo w nadziei, że nie widział tego żaden ze strażników. Przygląda zgrubiałą dłonią włosy i osuwa się na ziemię, oparty o zimną ścianę. Na desce wzdłuż ściany naprzeciwko wciąż śpi jego jedyny towarzysz w celi Joep van de Gheyn, zabójca handlarza rybami. Aris usuwa lewą ręką pot z czoła, a potem pociera owinięty pokrwawionymi bandażami kikut prawej dłoni, by zdusić tętno w obciętej kończynie, drgającej z każdym biciem serca. „Już dobrze, spokojnie” – mówi do siebie, masując dłoń.

Słyszając, jak karylion zegara bije ostatnie tony pełnej godziny poranka, uderza się lekko w policzek, by się do końca rozbudzić. To ostatni dzień jego życia. Z każdym kolejnym biciem zegara jest o krok bliżej szubienicy.



Na zewnątrz, w chłodnym powietrzu, czuć świąteczny nastrój. Choć jest zimno i mokro, a chmury wiszą nisko, tworząc sklepienie nad dachami miasta, ma się wrażenie, że przez ciche kanały i boczne uliczki Amsterdamu płynie niby prąd nieskrywane podniecenie. Niektórzy nazwaliby je żądzą krwi.

W ulicach zalega cisza – pusta, wyczekująca, jak kufel domagający się, by wypełnić go piwem. Gdy przypelzający ze wschodu, od bagnistych moczarów, świt zaczyna rozlewać się po wodzie i nad brzeżach, zjawiają się robotnicy z doków z deskami, żeby zbudować szubienicę. Rzucają deski na plac, niczym części trumny, a potem rozlega się stukot młotków. Nieopodal rozkładają swoje stragany kramarze, by sprzedawać gapiom, którzy przybędą na egzekucję, naczynia z fajansu, wełniane rękawiczki lub świeże pieczywo.

Do drzwi ratusza przytwierdzono kartkę z porządkiem Dnia Sprawiedliwości:

- R. Pijnaker, lat piętnaście, otrzyma karę chłosty za kradzież pieniędzy z kasy karczmarza.
- Burdelmama S. Zeedijk otrzyma stosowną liczbę razów w kark wałkiem do ciasta za wulgarność, zepsucie moralne i prowadzenie domu rozpusty.
- Trzej zmawiający się włamywacze: R. Tolbeit, A. Schellekamp i F. Knipsheer zostaną wychłostani, a na piersiach wypalą im literę A od „Amsterdam”. Potem zostaną wygnani z miasta za bezwstydną próbę włamania się do warsztatu szlifierza diamentów.
- Skazany na więzienie H. Peeters zostanie wybatożony i napiętnowany rozgrzanymi włóczniami za ucieczkę i inne złe czyny, a następnie z powrotem dożywotnio uwięziony.
- Niemiec E. Eisenstein, odbywający karę w więzieniu Rasphuis, palił tam tytoń, a gdy go upomniano, przeklinał i pluł na strażników. Będzie miał obcięte ucho. Potem wróci do Rasphuis i będzie piłami o dwunastu ostrzach ciął fernambuk dla farbiarni, aż jego dłonie będą tak dobre jak jego uszy.

- Wykonanie kary śmierci przez powieszenie na J. v. d. Gheynie, godnym potępienia mordercy dobrego człowieka i handlarza rybami Jorisa van Dungeona.
- Wykonanie kary śmierci przez powieszenie na A. Adriaenszoonie, znanym także jako Aris Kindt, złoczyńcy i nierokującym nadziei na poprawę złodzieju.

Adriaen Adriaenszoon, Adriaen, syn Adriaena z Lejdy, alias Aris Kindt, Hans Kindt lub Arend Kint; w różnych miastach, gdzie go aresztowano, używał różnych imion i nazwisk. Skazywano go na wygnanie, a potem znowu aresztowano. Ojciec mówił do niego „Arend”, co znaczyło „orzeł”. Teraz ludzie znają go jako Arisa, ale to nic nie znaczy. „Kindt”, czyli „dzieciak”, to przydomek, który dali mu inni wiele lat temu z powodu drobnej postury oraz dlatego, że kiedy popełniał swoje pierwsze przestępstwa, był jeszcze gibki i miał gładką skórę.



Aris opatula się szczerlnie kubrakiem, przyciskając go jedną ręką, z dłonią na sercu. Jego koszmar rozpadł się już na odrębne kształty: przeraźliwie wychudzone boki wygłodniałego psa, pokój pełen drzwi prowadzących do kolejnych drzwi, jego własne dłonie pomalowane na złoty kolor ściskające poduszkę wypchaną gęsim pierzem. Poduszkę wypchaną gęsim pierzem.

Obok niego chrapie Joep van de Gheyn, zabójca handlarza rybami. Z zawodu jest krawcem, co Aris odbiera jako ukrytą ironię losu, ponieważ sam przez większą część swego dorosłego życia

kradł wytworną odzież z pracowni krawieckich. Krawiec śpi jak niemowlę w ramionach matki, z dłońmi przyciśniętymi do pulchnych policzków, niczym w modlitewnym geście, lewą stopą kopiąc niewidzialnego napastnika.

„Idiota” – myśli o nim Aris.

Oparty nadal o ścianę wyciąga nogę ku swemu towarzyszowi i szturcha go mocno pod żebro.

– Będziesz spał, jak umrzesz – mówi.

Sąsiad z celi otwiera oczy, nieświadom szturchańca, i kasłając, budzi się ze snu. Uporczywy kaszel nie opuszcza go, aż do momentu gdy siada wyprostowany i dwukrotnie kicha. Potem wyjmując z kieszeni kawał brudnej chusty i czyści głośno i energicznie nos.

– No dobra – powiada, mrużąc oczy przed światłem dnia.

Obaj więźniowie siedzą w ciasnej celi, rozespani.

W leniwych oparach pierwszej godziny ostatniego dnia życia przez głowę Arisa przebiega myśl: „Poduszka? Czy kiedykolwiek miał okazję położyć głowę na poduszce z gęsiego pierza?”

„Flora” – pojawia się w głowie odpowiedź. Kiedy pomagała mu dojść do siebie przez te miesiące po pobiciu. Flora. Była przy nim ze swoimi dumnymi, mocnymi ramionami, piękną, kocią szyją, z rozłożystymi, niosącymi pociechę biodrami. Ujęła w dłonie jego posiniaczoną głowę i wsunęła pod nią poduszkę. Czyż nie było tak?

Flora. Czy Flora tam będzie?

DŁONIE

W okazałej, położonej przy kanale rezydencji należącej do doktora Nicolaesa Tulpa bicie dzwonów zegara Westerkerk słychać wyraźniej niż w celi. Doktor Tulp przemierza miarowym krokiem tam i z powrotem białą-czarną marmurową posadzkę salonu, przygotowując się do przemówienia, które wygłosi dzisiaj wieczoru, a jego żona Margaretha zastępuje mu słuchaczy. Siedzi przed nim wyprostowana na krześle z wysokim oparciem i wyszywa ogromną płachtę adamaszku. Jej dłonie zastygły w tej chwili w bezruchu i geście oczekiwania.

„Cudownie – myśli sobie – mieć tak blisko domu nowy kościół”, aczkolwiek rozlegające się co pół godziny bicie zegara nie do końca jej się podoba. Podoba jej się natomiast, gdy organista gra o pełnej godzinie coś specjalnego, na przykład jej ulubionego kompozytora, Sweelincka. Chciałaby pójść któregoś popołudnia i zobaczyć ten karylion, gdyby tylko udało się przekonać Nicolaesa, żeby jej towarzyszył. Administrator kościoła Westerkerk zaprosił ich już osobiście, co zrozumiałe ze względu na pozycję jej męża, który jednak nie przyjął jeszcze zaproszenia. Ostatnio tak jest zajęty tym swoim politykowaniem, że nie ma czasu dla siebie. Jutro nareszcie dzień wyborów i dzisiaj wieczorem będzie miał sposobność przekonać obecnych włodarzy i rajców miasta, że jest wystarczająco uczony i niewzruszony, by być kimś więcej niż zwykłym urzędnikiem magistratu.

Ma nadzieję, że mąż przyjmie propozycję administratora kościoła. To wspaniałe, że taki okazały kościół wzniesiono tak blisko

ich domu, i byłaby to drobna odmiana w rutynie domowych obowiązków i opieki nad piątką dzieci. Może powinna zasugerować Nicolaesowi, że administrator mógłby być przydatnym sojusznikiem w jego kampanii? Kto wie, może byliby pierwszymi mieszkańcami miasta, którzy wspięli się na tę piękną wieżę. Jakiż to widok musi się roztaczać tam, z góry!

Tulp staje w uroczystym wyroku. „Najwspanials i najdostojniejsi mężowie Amsterdamu! Czcigodny burmistrz Bicker, czcigodni mieszczanie, członkowie sądu namiestnika, urzędnicy miejsy, inspektorzy *Colegii Medici*, lekarze, cyrulicy – zaczyna przemowę lekko drżącym głosem. – Witam na drugiej publicznej dysekcji podczas mojej kadencji *praelectora anatomiae* Amsterdamskiej Gildii Chirurgów” – mówi dalej, a Margaretha podąża za rytmem modulacji jego głosu, wędrującego to w górę, to w dół, chłonąc jego melodię. Znowu wprawia w ruch igłę, przetykając ją tam i z powrotem przez tkaninę i przyglądając się uważnie tworzącemu się kształtowi tulipana, który ozdobi adamaszkowe kotary, jakie zawisną w sieni domu.

Wzór czerpie ze stojącego w doniczce na kominku admiraela, podarunku dla męża od Roemera Visschera, ofiarowanego w dowód wdzięczności za to, że uwolnił poetę od kamieni żółciowych. Skończyła już wyszywać biel płatków i teraz zabrała się za czerwień. Kwiat nie ma jeszcze łodygi. Zastanawia się, czy jej nie dodać, ale wtedy musiałaby pójść na górę po zieloną mulinę leżącą w koszyku, który w roztargnieniu zostawiła na półpiętrze. Zielona mulina. Powinna była o niej pamiętać. Nie chce przerywać mężowi, który nie śpi już od kilku nocy w oczekiwaniu na ważny dla niego wiecór, ale z drugiej strony, gdyby miała zieloną mulinę, być może

udałoby się wreszcie dokończyć wyszywanie tulipana, równocześnie słuchając słów męża.

„Na prośbę mistrzów naszej czcigodnej gildii stoję przed wami uniżenie, by przedstawić mój doroczny wykład na temat ludzkiego ciała i konstrukcji natury...”

Zamówił tego nowego malarza z pracowni Uylenburgha, by upamiętnił dzisiejszą dysekcję. Już drugi rok pełni funkcję *praelectora anatomiae*, wykładowcy anatomii, a taka jest tradycja. Każdy z jego poprzedników, obejmując tę funkcję, zamawiał portret zbiorowy gildii z sobą samym jako najważniejszą osobą na portrecie. Margaretha ma nadzieję, że artysta skoncentruje się na tchnących dobrocią, niemal niewinnych oczach męża, które tak ją w nim pociągnęły i w których wciąż znajduje pociechę, gdy podnosi wzrok znad haftu. Jest doskonałym lekarzem oddanym całym sercem pacjentom, gotów biec do chorego w środku nocy. Jest dobrym człowiekiem. Człowiekiem z charakterem.

Ma także nadzieję, że malarz dobrze uchwyci jego obfitą ciemną czuprynę i gęstą brodę, dzięki której wygląda tak młodo. Ma trochę rozmarzone oczy, chociaż bardzo się stara, żeby jego wzrok wyglądał na poważny i wnikliwy.

Być może malarz zauważy także zręczność jego dłoni, które – jak jej się od zawsze wydaje – mają w sobie coś kobiecego, a to za sprawą długich, pełnych elegancji palców, które zamyślony często przykładają do ust. Nie jest z pewnością typem mężczyzny kochającego ruch na świeżym powietrzu i wysiłek fizyczny. Przez jego cienką skórę prześwitują błękitne żyły i od zawsze jest w nim jakaś eteryczna bladość, która w jej odczuciu czyni go bliższym aniołów. Stara się

to maskować, przed wykładami kładąc na półeczki trochę jej różu. A przecież mężczyźni, na których chce zrobić wrażenie – wszyscy ci, którzy zgromadzą się dzisiaj wieczorem na jego corocznym pokazie anatomicznym w sali Wagi – nie są warci takiego zachodu.

Margaretha czuje, podobnie jak czuje teraz wyraźnie tępy koniec igły pod kciukiem, że mąż osiągnie w swoim czasie należną mu pozycję w społeczności Amsterdamu. Już jest przecież głównym *praelectorem anatomiae* tego miasta. On – doktor Nicolaes Pieterszoon Tulp, czasami nazywany z łacińska doktorem Tulpiusem. Widzi, jak bardzo chce to wszystko przyspieszyć. Być może ten portret jest nawet trochę przedwczesny.

Nicolaes odchrząkuje i zaczyna czytać swoje przemówienie jeszcze raz od początku, tym razem starając się obniżyć głos, by nadać mu więcej powagi i autorytetu.

„Najwspanialszy i najdostojniejszy mężowie Amsterdamu! Czcigodny burmistrz Bicker, czcigodni mieszczanie, członkowie sądu namiestnika – mówi, rzucając kątem oka na żonę, by przekonać się, że cały czas go słucha, aczkolwiek jej palce już teraz poruszają się, wyszywając kolejne ścięgi. – Przed wami, dostojni panowie, leży ciało haniebnego złoczyńcy skazanego na śmierć przez czcigodnych urzędników miasta Amsterdamu za swe niegodziwe postęпки, który poniósł dzisiaj śmierć na szubienicy...”

Margaretha dodaje trochę czerwonych akcentów do tulipana, zadając sobie w myślach pytanie, czy kotary zdobione wyszywanymi tulipanami to nie pewna przesada. Jest w nich, jej zdaniem, pewna krzykliwość, zwłaszcza teraz, gdy tulipan stał się przedmiotem takiej śmiesznej i szalonej mody.

Kiedy wprowadzili się do tego domu, miał to być drobny żart. Nad drzwiami frontowymi widniał ornament w formie tulipana i dlatego kiedy Nicolaes kupił powóz potrzebny mu na nocne wizyty u chorych, kazał namalować na jego drzwiczkach tulipana. Niebawem zaczęto nazywać go w mieście doktorem Tulipanem i tak już zostało. W końcu przyjął ten przydomek jako swe nazwisko zamiast właściwego Claes Pieterszoon. W mieście mieszkało już kilku Pieterszoonów, ale tylko jeden Tulp.

Od tamtej pory przyjaciele, znajomi i wdzięczni pacjenci często odwiedzali Dom pod Tulipanem z prezentami, w ten czy inny sposób nawiązującymi do tego kwiatu. Były więc wazony w kształcie tulipanów, tulipanowe naczynia, srebrne pucharki w formie tulipanów, no i prawdziwe tulipany, które przysyłali bogatsi pacjenci, umieszczone w glinianych donicach, pełnych dopiero co wyrosniętych cebulek, które służący ustawiali starannie na kominkach pod olejnymi obrazami, także otrzymywanymi w darze i także przedstawiającymi bukiety tulipanów. Margaretha wie, że wszystkie te kwiaty w tej czy innej postaci są dowodem miłości i szacunku, czasami jednak nie może się oprzeć wrażeniu, że nie mieszka w domu, lecz na klombie tulipanów. Machinalnie przeciąga igłę przez adamaszek.

Jej mąż, który ruszył znowu w głąb salonu, teraz wraca, zbliżając się do niej. Nie słuchała go, a on natychmiast to spostrzegł. Margaretha ma nadzieję, że nie będzie miał jej tego za złe, ale widzi wyraźnie, że jest bardzo podekscytowany i szuka jakiegoś sposobu, by przyciągnąć jej uwagę. Kartkuje energicznie napisany przez siebie tekst. Wydaje się, że przyszedł mu do głowy nowy pomysł, bo przełożył plik kartek z jednej ręki do drugiej, a następnie uniósł w górę wolną

dłoń i zaczyna gestykulować. Wykonuje dziwne ruchy, wykrzywiając w dość komiczny sposób nadgarstek i palcem wskazującym mierząc w sufit.

„Zwróćcie uwagę na ruch mojej prawej dłoni – próbuje jeszcze raz. – Ręka z przeciwnym kciukiem, jak pokazał nam to wielki Galen, charakteryzuje wyłącznie rodzaj ludzki. Czemu zawdzięczamy ten przydatek odróżniający nas od innych prymitywnych stworzeń niebędących ludźmi?”

Przerywa, po czym zwraca się do niej.

– Słyszałem, że jest możliwe, iż i szympansy mają przeciwny kciuk, chociaż to jeszcze niepotwierdzone. Mam o tym wspomnieć, czy to tylko wprowadzi zamieszanie? – Zastanawia się przez chwilę, gładząc brodę, po czym znowu unosi w górę dłoń.

Margaretha z trudem powstrzymuje uśmiech, który już, już miał wykwitnąć jej na wargach na widok męża obracającego dłonią w powietrzu w dramatycznym geście, niczym bombastyczny mówca z izby retoryki De Egelantier. On chyba tego nie zauważa, bo odwraca się raptownie na pięcie i znowu kierując się w głąb salonu, opuściwszy głowę, mruczy coś do siebie pod nosem. Gdy staje znowu przy niej, trzyma pięść przyciśniętą do czoła i przez długą chwilę milczy. Ona spogląda na adamaszek, bo wydaje jej się, że krzywo wszyła czerwona nitkę.

– Nie wydaje ci się zastanawiające, że tyle negatywnych rzeczy kojarzymy z lewą ręką? – mówi nagle Margaretha zamyślonym głosem do męża, przerywając trwającą od dłuższej chwili ciszę. – Pomyśl tylko: lewe interesy, dwie lewe ręce... A jak ktoś jest leworęczny, to boimy się, że potrafi odprawiać czary.

Podnosząc głowę, napotyka poirytowany wzrok męża, który opuszcza dłonie, rozsypując przy tym część kartek.

– Kochanie, czy ty w ogóle słuchasz, co mówię? – Wyciąga rękę w jej stronę, potrząsając trzymanym w dłoni tekstem przemówienia.
– Muszę się tego nauczyć na wieczór. A jeszcze nie skończyłem pisać. Przyniosę wstyd sobie i całemu naszemu domowi!

Margaretha widzi żałosne spojrzenie męża. Słyszała, jak nocą w swojej alkwie za ścianą budził się co najmniej trzy razy. Powinna była zagrzać mu mleka, a przynajmniej podarować sobie myślenie o zielonej mulinie i dywagacje o lewej ręce.

Wbija igłę w adamaszek na styku przyszłej łodygi i kwiatu, po czym obejmuje dłońmi rękę męża.

– Masz absolutną rację, kochany mężu. Już ci nie przerwę. Zacznij, proszę, jeszcze raz od miejsca, w którym skończyłeś.

SERCE

Tam, gdzie jest Flora, nie słyszać bicia dzwonów; nie słyszać nawet odległego zegara na wieży katedry, który bije już po raz czwarty pełną godzinę, od chwili gdy wstał kolejny dzień. Słyszać za to szum sitowia, gdy wiatr dmie od drugiej strony Renu. Przykucnęła za domem, wśród wysokiej trawy, trzyma się za brzuch i wymiotuje.

Nudności pojawiły się nagle: skurcz żołądka, w ustach słona żółć i sekundę później torsje. To już szósty miesiąc, a mimo to zawsze rano jest jej niedobrze i wybiega z domu do ogrodu, aby tam zwymiotować.

Gdy wkłada jedzenie do ust, od jego zapachu natychmiast robi się jej niedobrze, jak gdyby wszystko nagle było kwaśne lub zepsute. Uduje jej się jakoś przełknąć tylko gotowane jajko. Od zapachu gotowanego koźlęcia zaraz się krztusi, woń sera jest dla niej nie do zniesienia. Natomiast rano mdłości pojawiają się same i nie trzeba do tego żadnego jedzenia ani zapachu.

I znowu czuje nieznośny ciężar w żołądku, i znowu jest po wszystkim szybciej, niż się spodziewała. Gdy zwymiotuje już całą treść żołądka, kładzie się na wznak i leży. Ciągłe boli ją brzuch, lecz wie, że to uczucie niebawem osłabnie. Otwiera oczy i widzi nad głową przestwór nieba. Świt lśnił blaskiem i będzie pogodny dzień – mówi sobie – i teraz, gdy demony opuściły już jej ciało, będzie mogła pracować. Przynajmniej żołądek się uspokoił.

Znowu myśli o Adriaenie i wyobraża sobie jego reakcję, gdy podzieli się z nim tą informacją. Powiedział jej jakiś czas temu, że nie sądzi, by mógł być dobrym ojcem. W ogóle nie uważa, by był z niego jakikolwiek pożytek. Adriaen trochę namieszał w swoim życiu i nie potrafi się ustatkować, ale być może właśnie dziecko spowoduje w nim zmianę. Gdy spojrzy w oczy przepełnione miłością i niewinnością, być może sam dostrzeże własną niewinność.

I wtedy do jej uszu dobiegają jakieś chrapliwe krzyki, a po nich głośny trzask. Podnosi się i siada wyprostowana, nasłuchując. Nie, to bardziej jakby brzęk, jakby ktoś coś potłukł ze złością. Krótki dźwięk, a teraz cisza. Znowu krzyk, głośny brzęk, a potem tupot biegnących stóp. To znowu ci chłopcy. Zbiera się ciężko z ziemi, podtrzymując brzuch, i kieruje się ku frontowi domu. Widzi przez chwilę głowy uciekających wyrostków, a nawet zauważa, jak są ubrani. Bez trudu

ich rozpozna, bo zna wszystkich chłopców w tym mieście. Wszystkich chłopców i ich matki.

Wydaje jej się, że krzyczeli coś jakby *gekke heg* – „durny żywo-plot”. Czy to nie dziwne, krzyczeć, zanim rzuci się kamienie? Czy na podwórku coś leży? Sterta gałęzi? „Nic tu nie ma” – przebiega jej przez głowę, gdy skręca w ścieżkę prowadzącą na frontowe podwórko. Dostrzega natomiast chłopca, który wciąż tu stoi, gdy tymczasem jego koledzy znikają w oddali. To mały blondynek z kręconymi kędziorkami. Rozdziawił szeroko usta, jak gdyby ujrzał potwora.

„Wołali *heks*, nie *heg*” – uświadamia sobie w tej chwili. „Wiedźma”. Nazwali ją wiedźmą. Durną wiedźmą.

– Stara jędra! – krzyczy w jej stronę chłopiec, a potem ucieka do kolegów.

Flora zatrzymuje się, czując pod stopą ciśnięty przed chwilą w jej stronę kamień. Potem cofa się kilka kroków, ponieważ się obawia, że być może chłopcy wcale nie uciekli. Może po prostu czekają. Może przyczaili się za drzewem i chcą się upewnić, czy jest w domu jakiś mężczyzna, który stanie w jej obronie. Nazwali ją wiedźmą. Zaczęli ją wyzywać chłopcy z sąsiedztwa.

Ale dlaczego? Obrzucano ją już wieloma wyzwiskami, nawet mniej pochlebnymi. Jednak jeszcze nigdy nie była wiedźmą. Poleciały w jej stronę kamienie, a z nimi obelżywe słowa.

Czy kogoś czymś uraziła lub obraziła? Nie potrafiła sobie przypomnieć nic takiego. Odkąd brzuch jej się zaokrąglił, rzadko wychodziła z domu. Sąsiadka z gospodarstwa obok zanosila zamiast niej jajka na targ i przynosiła jej stamtąd wszystko, czego potrzebowała.

„Może coś wydarzyło się w mieście?” Słyszała pogłoski, że na nowo rozgorzała wojna między remonstrantami i antyremonstrantami, ale co to ma z nią wspólnego? Czy to możliwe, że Hiszpanie wygrali wojny na południu i wrócili? To niewykluczone. Może wrócili Hiszpanie.

Wbiega do domu, by się upewnić, czy nie ma tam czegoś, co może ją pogrążyć. Czego będą szukać? Co wezmą? Czego powinna strzec?

Znowu dobiega ją z zewnątrz jakiś hałas, więc podrywa się raptownie i nieruchomieje. Dźwięk jest cichy, może to tylko wiatr. Nie może jednak tu zostać. A jeśli chłopcy wrócą? A jeśli zjawią się większą gromadą? Kładzie rękę na brzuchu i mówi do niemowlęcia:

– Nic nam się nie stanie. Zabiorę cię tam, gdzie na pewno będzie bezpiecznie.

Nie ma niczego, co mogłaby zabrać z sobą, niczego wartego ocalenia. A poza tym dokąd może uciec? I kto ją ochroni? Gdy Hiszpanie zjawili się ostatnim razem, matka i kuzynki ukryły się w ich kościele. Ale czy teraz ją tam zabiorą? Teraz, kiedy nosi pod sercem bękarta?

USTA

Dźwięk odległego dzwonu zegara z Westerkerk zlewa się w De Walen z donośnym biciem dzwonów kościołów Oude Kerk i Zuiderkerk, rozsadzając czaszkę Jana Fetcheta, który leży w sianie, w sąsiedku magazynów Wagi, i próbuje schować głowę pod worek z prosem.

„Jezu Chryste, te dzwony biją, jakby zaraz miał być koniec świata” – myśli, przyciskając jeszcze mocniej do uszu worek. Tymczasem

z siana wyłania się obok niego, niczym Posejdon z morskich odmętów, jakaś postać. Mężczyzna przygląda się jej i rozpoznaje fałdy spódnicy i halkę, przez które przedzierał się tej nocy, rozpięty stanik i blond włosy wylewające się spod białego czepca.

– *Ooo, ma poupée* – mruczy rozanielonym głosem kobieta, zarzucając mu ramiona na szyję. – Tu jesteś, mój przystojny skarbie. Chodź w moje ramiona!

– O pani! – odpowiada jej bełkotliwie i wygrzebując się z siana, próbuje odepchnąć ją od siebie. – Nawet nie wiem, jak masz na imię.

– Nie rozśmieszaj mnie – odpowiada mu lekko zachrypłym głosem kobieta, z wargami spierzchniętymi od snu. – Nie rozśmieszaj mnie, proszę – powtarza i na potwierdzenie swych słów wydaje z siebie suchy, gardłowy śmiech przypominający kaszel starego muła.

– Słowo daję, że nie wiem – powtarza Fetchet, odpychając od siebie kobietę. – Którą to godzinę bił zegar? Miałem być na nogach o pierwszej. Już jestem spóźniony i, przebac mi, Boże, ale niczego nie pamiętam z ostatniej nocy.

Podniósłszy się wreszcie, widzi, że nie ma na sobie spodni i przez kilka długich chwil grzebie w sianie, próbując je znaleźć. Głowa mu pęka. Przyciska dłoń do skroni, żeby w ten sposób złagodzić ból. W ustach ma taki smak, jakby zjadł szczura. Gdy chucha na dłoń, czuje w nozdrzach odór kanału.

Leżąc obok ulicznica dalej śmieje się rubasznie, jakby jego zachowanie miało być kolejnym żartem. Kiedy jednak w końcu mężczyzna znajduje spodnie, podnosi się i siadając wyprostowana, odzywa się już zupełnie trzeźwym i rzeczowym głosem:

– Jesteś mi winien siedem stuiverów. – I żeby nadać większą powagę swym słowom, odgarnia loki z twarzy i przytrzymuje włosy ręką niczym ognistą koronę, mrużąc równocześnie żółte oczy i spoglądając nań groźnie.

– To by się zgadzało – odpowiada Fetchet, wciąż przyciskając prawą rękę do skroni, a wolną dłonią próbując wciągnąć drugą nogawkę. Nie będąc w stanie zawiązać jedną ręką tasemek od spodni, odejmuje prawą dłoń od skroni i wydaje z siebie równocześnie bolesny jęk. Spodnie znowu mu opadają. Schyla się, przetrząsa kieszeń i znajduje wypchaną sakiewkę pełną pieniędzy, które zarobił, dostarczając do Gildii Chirurgów wszystko, co potrzebne na dzisiejszą ucztę po lekcji anatomii. Rzuca ją kobiecie, ale ta nie potrafi jej złapać i sakiewka ląduje z brzękiem na deskach. – Weź, ile chcesz.

– Schowaj lepiej ten swój chudy tyłek – odpowiada niewiasta, po czym sięga po sakiewkę i odlicza sobie należną sumę, mrucząc pod nosem: – Skoro tak, wezmę sobie trochę więcej. – Potem podpełza do niego, potrząsając głową to w jedną, to w drugą stronę i odrzucając włosy niczym koń grzywę. Fetchet wyrywa jej sakiewkę z ręki, zanim zwędzi mu kolejną monetę, narzuca na ramiona pelerynę, schodzi po drabinie z sąsięku i przez pełną kupców halę z wagą kieruje się do wyjścia, a tymczasem kobieta, naciągając ubranie, woła za nim:

– Wracaj, a prześpię się z tobą jeszcze raz, za darmo!

Znalazłszy się na zewnątrz, na ruchliwym placu przed Wagą, Fetchet czuje na twarzy powiew rześkiego powietrza i wypcha do kieszeni sakiewkę. Mijając przywiązane do koryta konie stojące szeregiem przed budynkiem, nabiera wody z pojnika i przechylając głowę z głośnym gulgotem, przepłukuje usta. Wypluwa wodę i wyciera

ręce o grzywę jednego z koni, który wierzga spłoszony. Ladacznica nie daje za wygraną, wybiega za nim na plac, dogania go i chce na nim wymusić pożegnalny pocałunek. Odpycha ją, mówiąc:

– Wystarczy, już zapracowałaś na swój zarobek.

Ona jednak całuje go w usta. Kiedy się wreszcie od niego odkleja, Fetchet widzi, jak odchodzi niespiesznym krokiem, uśmiechnięta i rozmarzona, jak gdyby dopiero co zaczęła się między nimi płomienna miłość. Kiedy macha mu jeszcze z oddali pulchną dłonią na pożegnanie, on czuje cisnącą się z żołądka do gardła żółć. Wie dobrze, że to skutek zbyt dużej ilości wypitego piwa.

Tym razem zanurza w korycie całą głowę, czeka, aż strużki lodowato zimnej wody spłyną mu po twarzy, i szoruje dłońmi usta. Dygoce przy tym, ale wreszcie zupełnie się rozbudza. Gdy rozprostowuje bolące plecy, słyszy dobiegające z drugiej strony placu wołanie chłopca na posyłki.

– Wielmożny pan nazywa się Jan Fetchet, prawda?

– A kto pyta? – odpowiada Fetchet.

– Mam tu wiadomość od pana Rotzaka, marynarza ze statku „Lwica” Kompanii Wschodnioindyjskiej, dla handlarza osobliwości Jana Fetcheta. Tamten handlarz wskazał mi pana. Czy pan nazywa się Jan Fetchet, wielmożny panie? A jeśli nie, to może mi pan powiedzieć, gdzie go znaleźć?

Nazwisko Rotzak jest Fetchetowi świetnie znane. To jeden z marynarzy, który zaopatruje go w cuda i osobliwości z różnych zakątków świata.

– Tak, chłopcze, trafiłeś na tego Jana. Czy pan Rotzak zapłacił ci już za fatygę?

– Zapłacił, wielmożny panie – odpowiada chłopiec, kładąc kartkę z wiadomością na dłoni Fetcheta. Potem przestępuje niecierpliwie z nogi na nogę, czekając, aż Fetchet zaznajomi się ze zwięzłą i konkretną informacją.

– W takim razie weźmiesz teraz i zanieśiesz dwie wiadomości – mówi po chwili Fetchet do posłańca. – Jedna będzie do Rotzaka, a druga do mistrza van Rijna przy Sint Antoniesbreestraat, malarza kierującego akademią w domu Hendricka van Uylenburgha.

Chłopiec z obojętnym wyrazem twarzy zapisuje dwie wiadomości, które dyktuje mu Fetchet, pokazuje, by je zaaprobował, i wyciąga rękę po należną mu zapłatę. Fetchet sięga do swej wciąż pękatej sakiewki i wręcza chłopcu dwa doity. Ten kłania się nisko, obraca na pięcie i rusza biegiem przez zatłoczony plac. Po chwili znika Fetchetowi z oczu.

„A teraz do roboty – myśli Fetchet. – Mięso od rzeźnika, ser z targu serowego, chleby od piekarza, warzywa ze straganu i trup od kata”. Kiedy zabójca handlarza rybami Joep van de Gheyn będzie dyndał na stryczku, wystarczy, że go odetną i spadnie prosto do wozu Fetcheta. „Biedny, nieszczęsny Joep – myśli Fetchet, opuszczając Nieuwmarkt. – No ale przynajmniej znalazł się ktoś w Amsterdamie, kto jest większym łajdakiem niż ja”.

UMYSŁ

– No i proszę – odzywa się stojący przy oferującym najniższe ceny straganie przy Kalverstraat Kartezjusz na dźwięk zegara z wieży kościoła Westerkerk, który niesie się w wąskiej alejce wśród jatek.

– Zegar znówu bije, a to znaczy, że już od pół godziny targujemy się o to jagnię.

Na dźwięk zegara rozlega się z bocznego zaułka muczenie krów.

– Niesłychane – zauważa Kartezjusz – zwierzęta lepiej znają się na czasie niż ludzie.

– Zgadzam się całkowicie z wielmożnym panem – odpowiada rzeźnik, opasły mężczyzna o rumianych policzkach, z grzywą siwych włosów. – Jak to mówią, lepszy przyjaciel niż grosz w trzosie.

Kartezjusz nie jest pewien, czy rzeźnik mówi poważnie, czy w jego słowach pobrzmiewa sarkazm. On w każdym razie nie spotkał jak dotąd Holendra, który wybrałby przyjaciela miast guldena. Zegar bije po raz ostatni, a on tymczasem zastanawia się, bo nie wie, co powinien odpowiedzieć.

– No to zostanmy przyjaciółmi – mówi wreszcie.

Rzeźnik uśmiecha się, demonstrując dużą szparę między przednimi zębami.

„Miasto pełne remonstrantów i niewierzących, a ciągle po katolicku biją dzwony – nachodzi Kartezjusza refleksja, gdy odlicza należność rzeźnikowi. – Buntują się przeciw Kościołowi, zbudowali swą stolicę na kulcie wszechwładnego guldena, a godziny dalej im odmierza zegar z kościelnej wieży. No ale z drugiej strony, bardzo dobrze się powodzi tym amsterdamczykom. Tylko że wszystko strasznie drogie i człowiek o każdą rzecz musi się targować”. Liczy jeszcze raz leżące na dłoni monety. Dałby głowę, że minęły niecałe dwa tygodnie, kiedy płacił temu samemu rzeźnikowi połowę tego, co ma zapłacić dzisiaj.

Chwileczkę. Służący wspominał mu, że zmienił się przelicznik z liwrow na guldeny, a jemu zapłacono dopiero co za jego *Medytacje* w liwach. Służący powiedział jeszcze, że rynek jest na fali. Tak chyba powiedział, „na fali”. Wszyscy tu mówią kupieckim żargonem.

Teraz był już naprawdę skonfundowany. A może w rzeczywistości wychodzi na skąpca? A może jest odwrotnie i tydzień temu zapłacił dwa razy więcej, niż powinien? Światowej sławy matematyk René Descartes, nie mogąc poradzić sobie z tak banalnie prostą sprawą, wręcza rzeźnikowi wszystkie trzymane w dłoni monety.

– Masz rację, dobry człowieku – mówi. – Nie będziemy marnowali życia na targowanie się.

Rzeźnik przytakuje z uśmiechem wyższości i włożywszy pieniądze do kieszeni, rusza w głąb straganu po zwierzę. Kartezjusz, zły na siebie, dochodzi do wniosku, że powinien nauczyć służących, żeby chodzili do rzeźnika zamiast niego. Lepiej sobie radzą z prostymi rachunkami w tym pieniężnym chaosie. No ale z drugiej strony, to strasznie uciążliwe, gdy trzeba im ciągle przypominać, że kiedy posyła ich do rzeźnika, nie chodzi mu wcale o mięso.

Kiedy rzeźnik sprawia zabite jagnię, matematyk schyla się, by podnieść z ziemi stuivera, który wypadł mu z sakiewki.

– *Monsieur* Descartes! – Słyszysz w tej chwili za sobą i równocześnie czuje, jak ktoś klepie go zdecydowanie po plecach. – Widzę, że powrócił pan z bagien do metropolii. A przynajmniej nie przypomina pan już strojem wieśniaka.

Człowiek wypowiadający te słowa góruje zdecydowanie wzrostem nad drobnym Francuzem, który musi podnieść głowę, by spojrzeć mu w twarz. Gdy jego wzrok kieruje się ku górze, rejestruje

elementy wykwintnego ubioru prawdziwego holenderskiego strojnisia: czarne, francuskie, jedwabne trzewiki przyozdobione czarnymi kwiatami, białe pończochy i *culotte*, lniany kaftan z bufiastymi rękawami, i szamerowaną pelerynę, rozpiętą, jakby jej właściciel wcale a wcale nie odczuwał holenderskiego chłodu, na głowie zaś mężczyzny kapelusz z szerokim rondem ozdobiony... no tak, wzrok Kartezjusza nie mylił! – pawim piórem.

– Dzień dobry, *mijnheer* Visscher – odpowiada francuski filozof, nie mogąc sobie przypomnieć imienia mężczyzny. – A co pana, człowieka wysokiego urodzenia, sprowadza do tego krwawego zaułka, jeśli mogę spytać?

– Powinienem zapytać o to samo pana, przyjacielu. Niecodziennie człowiek natyka się na filozofów w jatce. Moje alibi jest takie, że wtedy mi najbliższej do Sint Antoniesbreestraat, gdzie mam spotkanie ze znawcami sztuki w akademii Uylenburgha. Ma tam do nas mówić malarz, którego imię jest dzisiaj na ustach wszystkich, jakiś Harman-szoon czy ktoś taki. Zna go pan?

– Nie wydaje mi się.

– Zrobił najpewniej wrażenie na Huygensie swoimi scenami biblijnymi i teraz wziął się za portretowanie mieszczan. Prawdę mówiąc, tak zorganizowałem sobie dzień, by uniknąć rozgardiaszu dzisiejszego święta. Na ulicach pełno cudzoziemców.

Te słowa bołą Kartezjusza, który wszak sam jest cudzoziemcem, podejrzewa jednak, że ze strony dandysa była to niezamierzona uszczypliwość.

– Moje wytłumaczenie to jak zwykle moja praca. Prowadzę otóż amatorskie badania anatomiczne, które mają mi pomóc w poszuki-

waniu duszy w ciele – odpowiada Kartezjusz i widzi, jak twarz jego rozmówcy krzywi się z obrzydzenia w reakcji na te słowa lub też z tego powodu, że nadaje im pozory naukowości. I dlatego szybko dodaje: – Lubię zapachy i widoki amsterdamskiego rynku, a tutejsi rzeźnicy potrafią się targować.

W tej samej chwili Kartezjusz przypomina sobie imię mężczyzny: Nicholas. Nicholas Visscher. Kartograf oraz kuzyn kupca i poety Roemera Visschera. Wszyscy trzech poznali się ubiegłej zimy podczas któregoś z wystawnych przyjęć w jednym z tych przytłaczających wielkością domów nad Amstemem.

– Skoro o tym mowa, przypuszczam, że ujrzymy pana dzisiaj na wykładzie z anatomii? – ciągnie Visscher. – Jestem pewien, że przypadnie panu do gustu nasz Tulpius, bo to pokrewny panu duch. Powiedziano mi, że będzie mówił o Galenie.

A, Tulp, racja. Kartezjusz już nieraz słyszał, że z pewnością wiele go łączy z *praelectorem* Amsterdamu, które to porównanie było dlań mocno irytujące. W końcu on, René Descartes, jest wybitnym matematykiem, którego przeznaczenie – czego był pewien – stanowi przemiana *scientii*, zaś ów *praelector* to po prostu miejski doktor bawiący się w sekcje zwłok i tyle.

W tej chwili Kartezjusz uświadamia sobie, że wychodząc dzisiaj z gospody Oud Prins, narobił sobie kłopotu. *Praelector* Amsterdamu, tenże Tulp, istotnie zaprosił go na doroczny wykład z anatomii, on zaś odmówił, wymawiając się tym, że ma zamiar spędzić cały tydzień w Deventer ze swoim przyjacielem, z którym prowadzi badania przyrodnicze, Henrim Renerim. A teraz spotkał go Visscher, który bez wątpienia wspomni mimochodem o tym spotkaniu swemu

kuzynowi Roemerowi, który z kolei na pewno wspomni o nim Tulpiusowi, skoro Tulpius to jego lekarz i drogi jego sercu przyjaciel. Wieści rozchodzą się szybko w kręgach elity Amsterdamu.

– Słyszałem wiele pochwał pod adresem waszego *praelectora*, aczkolwiek nie mieliśmy jeszcze sposobności się poznać – odpowiada Kartezjusz. – Nie przyjąłem jego zaproszenia, bo sądziłem, że będę poza miastem. Inaczej nie przegapiłbym rzecz jasna takiej sposobności. Niestety, nic się już nie da zrobić.

– Ależ co to za gadanie! Przygotuję dla pana miejsce – oświadcza Visscher. – W pierwszym kręgu, tam gdzie będą ludzie szlacheckiego stanu. Jestem pewien, że mój kuzyn będzie rad znowu pana zobaczyć. Myślę sobie także, że i pan, i wielki Tulpius znajdziecie wspólny język.

– O ile pamiętam, ma on zamiar podważyć teorię krążenia krwi Williama Harveya – ciągnie Kartezjusz, starając się nadać głosowi miły ton, aczkolwiek wołałby, aby tym razem Visscher powściągnął swą wspaniałomyślność. – Trudno wyobrazić sobie, że serce miałoby być pompą, jak twierdzi Harvey, niemniej te wszystkie jego odkrycia, o których nam donoszą z drugiej strony Kanału, są na pewno ważne. Zbyt jest arystotelesowski w swej logice, jak na mój gust, ale powinniśmy dać mu wiarę.

– Pan się zna na tym wszystkim lepiej niż ja – odpowiada Visscher, jakby dla niego było to bez różnicy. – Ja powiem tylko, że to dobrze, iż jest pan w mieście. Człowiek wykształcony nie powinien zbyt długo przebywać z kozami i wieśniaczkami. – Mruga doń porozumiewawczo, po czym klepie go po plecach, ale tym razem z takim impetem, że Kartezjusz z trudem zachowuje równowagę.

– Pobyt na wsi nie oznacza bezczynności. – Broni się Kartezjusz, chociaż nie musi tego robić. – Pracuję w tej chwili nad responsem dla Goliusa, co może pana zainteresować, gdyż dotyczy to jego obserwacji związanych z refrakcją.

– Istotnie, bardzo bym to chciał przeczytać – odpowiada Visscher. – Ale z drugiej strony, czy znajdę czas? Wszystkie godziny dnia schodzą mi na wynajmowaniu nowych kurierów i ludzi, którzy będą tym wszystkim zarządzać. Kto by pomyślał jeszcze kilka lat temu, że tak się rozrośniemy? Zdaje się, że dzisiaj każdy potrzebuje mapy.

Kartezjusz zastanawia się, co będzie musiał zmienić w swoich planach, by zjawić się wieczorem na wykładzie z anatomii. Miał zamiar cały dzień spędzić w domu, pisząc i dokonując sekcji zabitego jagnięcia. Teraz będzie musiał zrezygnować z jednego bądź drugiego.

W tej chwili, jakby na rozkaz, wraca rzeźnik, niosąc na rękach sprawione jagnię, które kładzie u stóp filozofa.

– Czyżby zamierzał pan przed dzisiejszą wspaniałą ucztą zjeść jeszcze kolację? – dziwi się głośno Visscher.

Słowa Kartezjusza nadmieniającego kartografowi, że też interesuje się anatomią, tłumią krzyki dochodzące z sąsiednich jatek. Jakiś chłopiec, pędzący przed sobą stado owiec, próbuje przepchać się przez tłum ludzi, wrzeszcząc na nich, że stoją mu na drodze. Visscher z dezaprobatą kręci na ten widok głową.

– Ci ludzie niewiele się różnią od zwierząt, którymi się zajmują – oświadcza. – Nic tu po mnie, muszę zmykać. Niech się pan nie kłopotuje o bilet na dzisiejszy wykład. Załatwię go panu i spotkamy się na miejscu. Liczymy zatem na pana dziś wieczorem!

– Tak, oczywiście, dziękuję panu – odpowiada Kartezjusz. – Do zobaczenia wieczorem. – Kłania się nisko ruszającemu w swoją stronę Holendrowi.

OCZY

Tymczasem Rembrandt Harmenszoon van Rijn w swojej pracowni w akademii malarskiej przy Sint Antoniesbreestraat przygląda się uważnie beli lnu, którą kupił dzisiaj rano w dokach od kupca handlującego płótnem żaglowym. Len robi na nim wrażenie – jest mocny, gładki, starannie i drobno tkany, aczkolwiek będzie musiał przyciąć go do rozmiarów płótna, na którym ma zamiar malować. To zbyt duża ilość materiału jak na jeden obraz i znacznie większa płachta płótna niż te, których używał dotychczas. Był to dla niego ogromny wydatek.

Dotąd zazwyczaj kupował dwa pasy inletu i łączył je za pomocą odrobiny grubszej warstwy gruntu, dzięki czemu zaoszczędzał sporo guldenów, tym razem jednak nie chce, by jakieś niewyraźne linie psuły mu ciągłość dzieła. To największe zamówienie, od kiedy przybył sześć miesięcy temu do Amsterdamu, i nie może pozwolić sobie, by zepsuły mu je jakieś drobiazgi.

Słychać dźwięk dzwonów zegara w Zuiderkerk, po drugiej stronie Oude Schans. To zapowiedź, że w każdej chwili mogą się tu zjawić *liefshebbers*, by jak co tydzień odwiedzić mistrza w jego pracowni. To kolejny uciążliwy obowiązek związany ze stanowiskiem mistrza akademii Uylenburgha. Musi udawać zadowolonego i być bardzo grzeczny, gdy wszystkie te bogate miłośniczki sztuki będą mu się